

W NOWEJ OJCZYŹNIE

W życiu większości osób pojawia się moment, kiedy pragną dowiedzieć się czegoś o historii swojej rodziny. Kiedy ja zaczęłam się nią interesować, postanowiłam udać się do babci i zadać jej parę pytań.

Babciu, jak to się stało, że nasi przodkowie przybyli na Dolny Śląsk?

Moi rodzice pojawili się na Ziemiach Odzyskanych po zakończeniu II wojny światowej. Ojciec - Leon Lipiński przyjechał z mieszkańcami Żukowa i osiedlił się w Naratowie. Jako sołtys miał wiele ludzkich i urzędowych spraw do załatwienia w procesie osiedleńczym. Kiedy został wójtem dojeżdżał do pracy motorem, do sąsiedniej miejscowości – do Sicin. Ojciec był człowiekiem doświadczonym przez uczestnictwo w I Wojnie Światowej, dotarł wówczas do Włoch, gdzie widział pomarańcze na drzewach. Kiedy po powrocie do domu opowiadał o tym co widział, był uważany za „światowego człowieka”. Wojenne widoki i trudy były niewątpliwie traumatycznym przeżyciem dla osiemnastolatka.



Fot. 1. Leon Lipiński w środku (z kapeluszem w ręku)



Fot. 2. Pradziadek Leon Lipiński podczas I Wojny Światowej

A historia twojej mamy?

Moja mama z rodziną mieszkała na Kresach, w Podhajcach. Żyli spokojnie i pracowicie. Blaszany dach nowego bliźniaka na wzgórzu, w Gaju, lśnił niczym dach cerkwi. Ogromna stodoła, a przed nią kierat świadczyły o gospodarskim rozmachu. Pieniędzmi nie szastano, ale też nie żałowano na porządne budynki gospodarcze. Pieniądze były nie byle jakie - amerykańskie, które zarobili przez kilka lat - babcia Petronela i (jej ojciec) pradziadek Stefan Kukla. W tym czasie od piętnastu lat w Nowym Yorku w restauracji pracował Atanazy Dmytruk, który po powrocie do Polski ożenił się z Petronelą. Ciekawostką jest, że zdobywał szlify kucharza na okręcie dalekomorskim.



Fot. 3. Petronela i Atanazy Dmytrukowie - po ślubie, który nastąpił po powrocie do Polski z Ameryki

Gdzie ci krewni spędzili czas wojny i jak sobie radzili?

Nadeszła bardzo surowa zima 1940 roku. Stefan i Atanazy nie żyją, rodzeństwo rozproszone w innych miejscowościach. Petronela - moja babcia, mieszka już tylko z córkami: osiemnastoletnią Marią (moją mamą), siedemnastoletnią Jadwigą, czternastoletnią Janiną i trzynastoletnią Julią. Nadchodzi noc z 9 na 10 lutego. Dla Petroneli jest to szczególnie ciężka noc, bo w ostatnim okresie nasiliła się choroba. Około godziny trzeciej w nocy na posesję wdarli się przybysze i głośnym łomotaniem do drzwi i okien domagali się otwarcia domu. Chyba uznali mieszkańców za opieszałych i dla przyspieszenia oddali kilka strzałów w drzwi (w roku 2009 widziałam na futrynie ślady po kulach).



Fot. 4. Podhajce 1938 - prababcia Maria Lipińska (pierwsza z lewej)

Okazało się, że takie brutalne wizyty złożono wielu rodzinom, zabierając ich z domu z kłamliwą informacją, że będą okresowo przesiedleni, bo zbliża się front. Wszystkich zapakowano do bydłowych wagonów, nawet po sześćdziesiąt osób. Podróż trwała dwa tygodnie i tylko czasami pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji, gdzie przydzielano na wagon wiadro gorącej wody „kipiatok” i śmierdzącą zupę rybną lub bardzo słone śledzie. Chwycona naprędce żywność z domu dawno już się skończyła. To była piekielna podróż. Ludziom odebrano godność i nadzieję. Ostatni etap podróży nieszczęśnicy odbyli saniami. Tak znaleźli się na Syberii, za Uralem. Na miejscu wskazano im barak, w którym na

wyposażeniu były gołe drewniane prycze i żelazny piecyk. W jednej dużej izbie lokowano kilka rodzin, z dziećmi i starcami. To straszne miejsce nazywano Łudą - nad rzeką Siużwą wpadającą do Kamy. Moja babcia, mama i ciocia Jadwiga zostały zakwalifikowane do pracy przy wyrębie drzew. Należało wyznaczone drzewo ściąć, odciąć gałęzie, okorować i po lodowej drodze przesunąć dalej. Te bale drewna były przechwytywane, spinane i puszczane dalej w dół rzeki. Od ilości wykonanej pracy zależała zapłata - kromka czarnego gliniastego chleba. Po pół roku Petronela już tylko leżała, a po roku zmarła. Dwie nastoletnie dziewczyny pracowały ciężko przy czterdziestostopniowym mrozie, a zarobioną kromką chleba dzieliły się z młodszymi siostrami. Znacznie lepszą sytuację miały rodziny, gdzie był mężczyzna, im udawało się wyrobić normę. W tych ciężkich warunkach najsłabsi nie przeżyli.

Jak udało im się opuścić Nieludzką Ziemię?

O amnestii poinformowano zesłańców z dużym opóźnieniem. Sowieckie władze usiłowały zatrzymać niewolników, bo brakowało im ludzi w takich miejscach odosobnienia. Jednak wszyscy chcieli wracać do domu, do Polski. Kiedy wmawiano zesłańcom, że są już obywatelami nowego kraju i prawosławnymi, posiadanie świętego obrazka, medalika, czy książeczki do nabożeństwa było niejako „dokumentem na polskość”.

Rozpoczął się powrót do domu. Anders już był daleko, nie było szansy na dogonienie ich. Ruszono na zachód. Moja mama i jej siostry dołączyły do grupy piechurów i tak przemierzali wielokilometrowe przestrzenie. Istniało wielkie zagrożenie, wygłodniałe wilki atakowały ludzi. Kiedy dotarli do Biesierowa, cztery siostry zamieszkały razem.



Fot. 5. Czwarta od lewej - prababcia Maria Lipińska (Dmytruk)

Maria i Jadwiga w krótkim czasie zostały powołane do tworzącego się w Sielcach Wojska Polskiego. Dowódcami jednostek byli Sowieci. Te biedne, spracowane dziewczyny, po przeszkoleniu ruszyły z wojskiem na zachód. Spychali wroga z zagarniętych terenów i szli na Niemcy. Po drodze walczyli z maruderami, pomagali ludności cywilnej. Moja mama wraz z II Armią LWP doszła do Zgorzelca. Kiedy zatrzymali się na odpoczynek, docierali do nich polscy żołnierze z radosną nowiną: „Berlin zdobyty”! Zaczął się wielki odwrót. Dzięki sprawnej poczcie polowej mama miała kontakt z ciocią, która zabrała pod opiekę Janinę i Julię. Teraz mogły się wszystkie spotkać, ale najpierw należało dopełnić formalności przejścia do cywila i udać się na formalną demobilizację do Lubartowa.



Fot. 6. Maria Lipińska, jeszcze Dmytruk, w szeregach LWP



Fot. 7. Prababcia Maria Lipińska na zjeździe Platerówek

Nareszcie zamieszkały razem w Wąsoszu, gdzie ciocia (siostra ich mamy) mieszkała już ze swoją córką. To tutaj przyjechał, za sprawą swatki, mój ojciec – wdowiec z ponad dwuletnim synkiem i po kilku spotkaniach ustalono datę ślubu kościelnego, który odbył się w Wąsoszu w 1946 r. Małżonkowie zamieszkali razem w Naratowie. Poturbowani psychicznie ludzie, przemęczeni zsyłkami, obozami pracy i wojną podjęli trud odbudowy życia rodzinnego i państwowego. Ziemie Zachodnie traktatami międzynarodowymi przyznano Polsce w zamian za zabrane Kresy. Na niewielkim gospodarstwie było dużo pracy. Domem, dziećmi, trzodą i przydomowymi ogródkami zajmowała się moja mama.

Teraz opowiedz o sobie.

Urodziłam się w 1947 r. w Naratowie. Kiedy wyjeżdżaliśmy do Złotoryi kończyłam pierwszą klasę. Dużo pamiętam. Tato codziennie wyjeżdżał do pracy do gminy. Mama zostawała z całą robotą.



Fot. 8. Rodzina Lipińskich, druga od lewej babcia Danuta

Dużo dreptałam przy mamie, bo bardzo mnie ta wiejska krzątanka absorbowała. Mama, chociaż była zabiegana, poddawała się moim pytaniom i pamiętam jak pozwoliła mi dość krowę. Byłam bardzo zawiedziona, że nie potrafię, skoro mamie tak lekko ta czynność się udawała. Radością było samodzielne karmienie drobiu i psa. Nie pamiętam kotów. Może było ich mało i każdy pilnował swego, bo myszy podjadały zboże. Jedliśmy bardzo smaczne produkty: mleko, ser, jaja, mięso z własnych kur i świnek. Po świeżutkie warzywa szło się do ogródka i płukało przy studni. Woda ze studni smakowała nadzwyczaj. Drugi ogród kusił czereśniami, gruszkami, porzeczkami i agrestem. Przez ogród owocowo-kwietny przechodziło się na pastwisko, gdzie krowa Mućka i koń Siwek zgodnie wyskubywały trawę. Nie czułam zagrożenia i podchodziłam do zwierząt. Były łagodne i towarzyskie. To chyba wtedy pokochałam zwierzęta, stały się moimi towarzyszami zabaw, z braku dzieci. Rówieśników we wsi nie brakowało, ale każde dziecko gospodarskie miało zadania na miarę swoich możliwości. Ponadto dorośli nie mieli czasu na pilnowanie cudzych dzieci, bo ze swoimi mieli zawrót głowy. Bolek uważał, że Mućka jest jego, a ja że Siwek jest mój. Siwka otrzymała mama jako żołnierz Wojska Polskiego uczestniczący w wojnie. Bolek nie lubił paść krowy, bywało że przeszedł się z nią tam i z powrotem i zniknął. Dom był samowystarczalny. Rodzice robili przetwory mięsne w zalewie i wędzone, po świniobiciu.

Mama robiła przetwory warzywne i owocowe. Ojciec nas strzygł i zelował buty, a mama szyła i dziergała ubrania. Co pewien czas kąpaliśmy się we wspaniałej miksturze - zbieraliśmy nad stawem z mamą tatarak, który po opłukaniu układaliśmy na dnie wanny i kołkiem obstukiwaliśmy go. Przyjemny zapach rozchodził się wokół. Do wanny mama wlewała gorącą wodę, a potem wiadro mleka. Taplaliśmy się z bratem w tej wodzie z wielką radością. Do moich ulubionych zajęć należało opiekowanie się młodszym o pięć lat bratem. Kiedy zaczął mówić nazywał mnie „małą mamą”. Marzyłam o siostrze i dlatego wiązałam mu na głowie kokardki, a potem zaplatałam warkoczyki. Za garażem mieliśmy kilka grządek kukurydzy. Obrywałam kolby i robiłam z nich laleczki z kolorowymi włosami. Liście łopianu, chrzanu i rabarbaru też były w użyciu „garderobianym”. Wielkim urozmaicheniem były niedzielne wyprawy bryczką do kościoła. Niedzielne ubranka, kokardy we włosach dodawały odwagi, by spojrzeć prosto w oczy świętego na ściennym malowidle. Czułam podniosłość chwili, należałam do wspólnoty Aniołów i wierzyłam w ich opiekę.



Fot. 9. Prababcia Maria Lipińska

Kiedy wszystko zaczynało się układać, zapewne zadbano o uroczystą oprawę świąt?

Do świąt przygotowywano się starannie. Porządkowano dom i obejście, przygotowywano smaczne jedzenie, nowe haftowane serwetki, jakieś nowe ubranka. Czasami wpadał ktoś z rodziny. Zimą do kościoła jeździliśmy dużymi sałmami, gdzie mieściły się też ciepłe narzuty - bundy, a w porze cieplej - małą, zgrabną bryczką na wysokich kołach. Zawsze powoził tato. Siwek woził nas spokojnie, bezpiecznie. Nabożeństwa majowe, droga

krzyżowa czy poświęcenie pokarmów wielkanocnych, odbywało się pod kapliczką. Na obchody świąt państwowych jeździło się do Góry Śląskiej. Ze dwa razy byłam z ojcem. Pojechalśmy bryczką, a w pochodzie 1-go maja tato jechał rowerem przybranym kolorowymi bibułkami na szprychach, mną w tym czasie opiekowała się matka chrzestna, mieszkająca w Górze. Ojca pochłaniały obowiązki - przemówienia, spotkania z władzami i znajomymi, a ja miałam baloniki na druciku, kręcone twarde cukierki, watę cukrową i pachnącą kolorową oranżadę. Dorośli delectowali się piwem z beczki i kiedy przyszło wracać do domu ogarniała ich senność. U nas nie było inaczej. Po zapakowaniu do bryczki roweru, tato rozsiadał się wygodnie, chwycił lejce, wydawał komendę „wio” i zasypiał. Mnie również ogarniało całodienne zmęczenie i nie wiedzieć kiedy zasypiałam. I tylko Siwek czuwał, wioził nas spokojnie do domu. Byli świadkowie niezwykłości naszego Siwka, który przed przejazdem kolejowym w Naratowie zatrzymywał się, rozglądał w lewo, w prawo i uznawszy, że można, przejeżdżał bez pośpiechu. A kiedy dojechał na miejsce, umiejętnie brał zakręt na mostku, wjeżdżał pod bramę i rżał. Mama wychodziła i otwierała zamknięte wrota.



Fot. 10. Siwek wiezie rodzinę babci Danuty do kościoła

Jak wyglądały posiłki? Jakies ulubione potrawy?

Mama robiła pyszne pierogi, różne. Piekła ciasta drożdżowe z kruszonką, smażyła pączki i chrusty. Jadaliśmy na śniadanie zupy mleczne z ciastem albo domowym chlebem ze słodką omastą. Ulubionym daniem był makaron albo na kasza kukurydziana gęsto posypana

białym serem, polana tłuszczkiem ze skwarami i zarzucona posiekaną natką pietruszki z koperkiem. Uwielbialiśmy naleśniki. Tato lubił jeść obiady mięsne, a potem często coś tam robił w komórcie dobrze wyposażonej w narzędzia. W dni zimne i deszczowe wchodziłam na piętro, gdzie był pokój z zabawkami. A był tam misiu z futerka, wielkości dwuletniego dziecka, drewniany domek dla lalek, małe naczynia, konik bujany, kolorowe szklane kulki i wiele innych zabawek. Fascynowały nas atlasy anatomiczne, w których organy człowieka były przedstawione warstwami, które można było podnosić i oglądać coraz głębiej. Z zapalem oglądaliśmy ilustrowane wydania opracowań geograficznych i wydarzeń historycznych.

Od czasu do czasu rodzice wychodzili do pałacu na zabawę. Mój ojciec grał na kilku instrumentach (przed wojną z bratem grywali na weselach) i zdarzało mu się trochę pograć i tutaj. W domu nie podśpiewywał, ale w kościele zawsze pierwszy zaczynał i ostatni kończył.

Dlaczego wybrali Złotoryję?

Nadszedł czas kolektywizacji. Ojciec nie popierał tej idei, ale ze względu na stanowisko podlegał naciskom i wymaganiom, by pilotował na swoim terenie zakładanie spółdzielni. Nie chciał. Pojawiło się we wsi kilku aktywistów, którzy pod nieobecność ojca zastraszali mamę i dzieci. Byłam świadkiem podłożenia ognia pod dom. Rodzice postanowili opuścić wieś i przenieśli się do Złotoryi w marcu 1955 r. Mama znalazła się blisko dwóch siostr, cioci i kuzynki. Tato został kierownikiem Biura Meldunkowego, mama prowadziła dom, dwie działki i świadczyła usługi z zakresu krawiectwa lekkiego. Rodzina spotykała się częściej, także na łonie natury, np. przy wodospadzie przy spiętrzeniu wody koło Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach. W bezpośrednim sąsiedztwie miałam dużo dzieci w różnym wieku i taką gromadą spędzaliśmy czas na dużym placu. Rodzice przyjaźnie odnosili się do dzieci z sąsiedztwa. Np. mój młodszy brat był drobniutki i nie chciał jeść. Mama przygotowywała kanapki, owoce i wynosiła mu na podwórko, gdzie mógł poczęstować kolegę i w końcu w towarzystwie coś zjeść. Mieszkaliśmy blisko centrum, ale na uboczu i wszyscy sąsiedzi, także my, hodowaliśmy świnki, króliki, kilka kurek. Oczywiście, mieliśmy psa - mojego pupila. Jego pojawienie się u nas było prawdziwą niespodzianką. Kiedy niemieckie rodziny opuszczały Złotoryję, jedna z Niemek przy wymeldowaniu powiedziała, że ma szczeniaczka, ale chce zabrać tylko matkę. Tato umówił się, że po pracy wstąpi i malucha weźmie. Tak się stało. „Brylant” był z nami do 1966 r.

Czas powojenny był bardzo biedny. Jak wyglądało wasze dzieciństwo?

Płynęły lata. Największą letnią atrakcją był basen, ale nie mieliśmy kieszonkowego na bilety wstępu. Mieliśmy swój wywiad i rozeznanie, gdzie są w siatce dziury, którymi można przedostać się na teren z nieckami. Lubiłam kąpiele wodne, zapisałam się u ratownika na naukę pływania. W wieku dziesięciu lat zdobyłam kartę pływacką, z pierwszego poziomu trampoliny skakałam na główkę, a z drugiego na nóżki. Byłam odważna i lubiłam pokonywać własne słabości. Najbardziej satysfakcjonowały i wzmacniały mnie zwycięstwa nad samą sobą, bo w głębi duszy byłam strachliwa i bardzo wstydliva.

Na obecnych plantach, wzdłuż muru klasztoru franciszkańskiego, funkcjonował targ, gdzie kwitł drobny handel. Był tam nabiał, drób, zielenina, owoce. W sezonie grzyby, jagody i leśne maliny. Co pewien czas, przy którejś ulicy „parkowała” furmanka z płodami ziemi i sadów. Funkcjonował handel obnośny, np. Cyganie oferowali „najlepsze” patelnie, gospodynie pierze na ciepłe pierzyny i poduchy, twórcy monideł i sprzedawcy dewocjonaliów portrety i święte obrazy. Dostojnym krokiem, powoli prowadząc rower z przyczepką, przechodził człowiek i donośnie pokrzykiwał: „Szmaaaaty! Szmaaaaty! Noże ostrzę!” Czasami zamiast zbierać szmaty, oferował garnki. Co odważniejsze chłopaczyska ustawiały się za człowiekiem i naśladowały jego ruchy i głos. Jedni z chłopcami zaprzyjaźniali się, inni przeganiali, a jeszcze inni nie reagowali, a dotknięci ignorancją w końcu szukali lepszej zabawy.

Każda pora roku niosła nową ofertę zabawową. W zimie zjeżdżało się „na czym kto może” z licznych gór. Najtrudniejsze zjazdy były z fabrycznej góry – nikt nie ucierpiał, wszyscy przeżyli. Latem basen, tama na Kaczawie i oczka po kamieniołomach. Objadaliśmy się owocami z ogrodów, przydrożnych drzew i „na wydrę” czereśniami z przedszkolnego ogrodu. Lubiliśmy słodczy: kawusie, kukułki, landryny, migdałki i kręcone druciki kolorowego wapna z apteki. No i obowiązkowa łycha tranu. Jadało się kiszoną kapustę w surówkach, gołąbkach, kapuśniaczku. Na stołach Kresowiaków królowały pierogi, a u poznaniaków pyzy na parze.

Matki najczęściej nie pracowały zawodowo. Dzieci rano obsłużone szły gromadą do szkoły. Starsi z młodszymi. Droga do szkoły była swego rodzaju czasem zabawy - trochę popychania, poszturchiwania, podśmiewania się z siebie i pomagania sobie w razie potrzeby.

Rodzice, czy sąsiedzi nieraz przyglądali się dzieciom, chętnie śmiali się z nimi, bardzo nie strofowali, uczyli hartu i radzenia sobie z przeciwnościami. Dorośli chętnie rozmawiali ze sobą, sąsiedzi i krewni pomagali sobie w potrzebie. Dorosłe pokolenie pierwszych osadników bardzo ceniło sobie spokój, uruchamianie zakładów pracy, opiekę zdrowotną i rozwój

przybytków kultury. Mężczyźni chętnie wędkowali, kobiety przysiadły w grupie i np. szydełkowały, haftowały, czy dziergały na drutach. Podczas takich spotkań dzieliły się radami, opowiadały dzieje swoich rodzin. Rozmowom dorosłych przysłuchiwały się dzieci. Z tego miksu ludzkich historii wyłaniały im się losy Polaków i Polski. To była prawdziwa historia utkana z bólu, strachu, przepleciona pajęczyną uwarunkowań, uzależnień i ograniczeń. Pierwsi dorośli osadnicy pracowali ciężko, chętnie bawili się, np. na miejskich, czy wiejskich potańcówkach. Kobiety i dziewczyny wyglądały na wystrojone. Chyba tylko Polki potrafią z niczego zrobić „coś” w zakresie odzieży. Zdjęcia z tamtych lat pokazują te zachwycające widoki: napięte pończoszki, koroneczki, kołnierzyki i falbanki, a nad czołem zawadiackie loczki. Jeśli popatrzymy na zdjęcia z tamtego okresu, to stwierdzimy, że wszyscy się uśmiechają. Mają pragnienia, marzenia i nadzieję, że to wszystko osiągną. I kiedy dzisiaj spojrzymy w tył, ocenimy jaką daleką przeszli drogę; i szkoda tylko, że nie wszystkim było dane. Daleką drogę w rozbudowie swego gniazda rodzinnego, wychowania i wykształcenia dzieci, zaakceptowania mentalności, zwyczajów i tradycji sąsiadów. Nauczyli się żyć w zgodzie. W powojennej Polsce w świecie polityki ścierały się nurty narodowe z sowieckimi. Z buntu i niezadowolenia z polityki państwa kolejno różne grupy zawodowe ogłaszały strajki, przemarsze, wystosowywały apele, domagały się negocjacji.

Czy wybór zawodu nauczyciela był trafiony?

Urodziłam się na Dolnym Śląsku i tu spędziłam całe swoje życie. Po maturze w Liceum Pedagogicznym w Lubomierzu podjęłam pracę w „Tysiąclatce” w Złotoryi w 1966 r. Zaczęłam pracę w nauczaniu początkowym, w miarę rozwoju szkoły przybywało godzin przedmiotów plastycznych w lasach IV-VI, w różnych latach różnie nazywanych. W drugim roku pracy złożyłam egzamin praktyczny przed komisją i otrzymałam skierowanie do Studium Plastycznego w Legnicy. Przez wszystkie lata pełniłam rolę wychowawcy klasowego. To były lata państwa opiekuńczego. Dbano o niektóre służby i sektory. Aby zwiększyć zadowolenie elektoratu organizowano opiekę nad dziećmi, by rodzice mogli odpocząć i swobodnie zabawić się. Najlepiej do tego nadawali się przygotowani z wykształcenia i praktyki nauczyciele. Wprowadzono niepłatne soboty pracujące na realizację rajdów, wycieczek, zawodów, festynów i prace społeczne z udziałem dzieci. W Święto Bożego Ciała ogłaszano Dzień Sportu Szkolnego.

Dyrekcja od początku „wyróżniała” mnie zadaniami, tak więc przez parę lat prowadziłam Uniwersytet dla Rodziców, przez 10 lat Spółdzielnię Uczniowską „Dusigrosz”, drużynę harcerską, która zdobyła tytuł mistrzowski i szczerp mistrzowski, koło plastyczne,

a nawet uprawiałam z uczniami wzorcową działkę szkolną. Wraz z kolejną reformą w oświacie podjęłam pięcioletnie magisterskie studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu, w trybie zaocznym. Ogłoszenie stanu wojennego zastało mnie w Poznaniu. Czas wykorzystywałam maksymalnie, wszystkie egzaminy składałam w pierwszym terminie zjazdów, by nie tracić czasu na wyjazdy ekstra. Przez lata studiów zjazdy odbywały się co dwa tygodnie, zabierały tydzień ferii i miesiąc wakacji. Tytuł magisterski zdobyłam z oceną bardzo dobrą. W czasach trudnych, kryzysowych, w ramach związku zawodowego organizowałam zaopatrzenie pracowników szkoły w różne produkty. Przez dwa lata pracowałam w Komisji Mieszkaniowej przy IOiW, pełniłam funkcję ławnika w Sądzie Rejonowym w Złotoryi i w Sądzie Okręgowym w Legnicy. Od 1978 roku aktywnie działałam w Komisji Historycznej, która przerodziła się w Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Wydawaliśmy „Echo Złotoryi”, którego byłam współredaktorką.



Fot. 11. Babcia Danuta z odzyskanymi zdjęciami przodków

Podstawową moją pracą była edukacja i wychowanie. Doksztalcanie nasycalo mnie nową wiedzą i umiejętnościami, które natychmiast w stosownym zakresie „sprzedawałam” uczniom. Po sobie wiem, że kształcący się pracownik jest żądny dzielenia się nową wiedzą i w jakimś stopniu w swojej dziedzinie podnosi wiedzę otoczenia. W latach 80-tych XX wieku uruchamiano ogrom kursów, semestrów przy uczelniach. To był dobry czas dla zainteresowanych nauką. Szkoda, że wielu mądrych i chętnych do nauki było odciętych od światowego dziedzictwa kulturowego przez wiele lat żelazną kurtyną.

W „swojej” szkole przeszłam przez funkcję wicedyrektora do dyrektora szkoły. Wszystkie sprawy szkolne były moją karmą. Nie mogłam się „najeść” tej pracy. Z uczniami mogłam się nie rozstawać, przygotowywałam z nimi dzieła plastyczne, uzyskaliśmy tytuł Najbardziej Uplastycznionej Szkoły w byłym już Województwie Legnickim. Reformą oświaty wprowadzono egzaminy zewnętrzne, po klasie szóstej i ósmej. Egzaminy próbne wymagały takiej samej procedury. Kolejna reforma wprowadziła gimnazja i nowe zadania dla dyrektora szkoły, przy której gimnazjum tworzone.

A potem emerytura i...?

Wraz z zakończeniem kadencji, po 35-ciu latach pracy przeszłam na emeryturę. Zrezygnowałam z funkcji Egzaminatora Maturalnego w Zakresie Plastyki. Teraz intensywniej pracowałam w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, przez wiele kadencji w zarządzie. Reprezentowałam TMZZ w zarządzie Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego przez dwie kadencje. Towarzystwo wznowiło wydawanie „Echa Złotoryi”, które współtworzyłam dziennikarsko do 2020 roku. W siedzibie TMZZ prowadzę Izbę Kresową i Koło Kresowian, z którym zorganizowałam osiem edycji (do pandemii) Złotoryjskiego Przeglądu Kultury Kresowej. Człowiek aktywny, chętny do pracy dla dobra ogółu, zawsze ma zajęcie. Każde działanie jest cegiełką w rozbudowie naszej Dolnośląskiej Ojczyzny. Otrzymywałam nagrody państwowe, resortowe i te najpiękniejsze, przyznawane przez dzieci. Wspomnienia pokazują, że każde pokolenie wносиło wartości w życie Polaków i dawało podwaliny do działań tym, którzy przyjdą po nich. Teraz twoja kolej, moja kochana wnuczko.

Dziękuję Babciu za wiedzę i przemyślenia.

Informacji udzielała Danuta Sosa.